

# Festiwalowa

Za nami trzy dni festiwalowego maratonu. Mieliśmy okazję zobaczyć Gombrowiczowskie lektury obowiązkowe, czyli „Ferdynand” i „Trans-Atlantyk” oraz mniej znane opowiadanie „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego”. Ten ostatni utwór usłyszeliśmy po flamandzku. Dziś kolejna odsłona. Znowu w międzynarodowym wydaniu. State Youth Theatre z Wilna przedstawi „Iwonę, księżniczkę Burgunda”.

Tegoroczny festiwal różni się od wszystkich, do których przyzwyczaił nas radomski teatr w ostatnich latach. Widownie, tak jak było wcześniej, wypełnione są po brzegi, ale już tuż po spektaklach wszyscy w mniejszym lub większym pośpiechu uciekają do domów. Nie ma paneli dyskusyjnych, spotkań i rozmów z twórcami, wymiany refleksji z innymi widzami na temat sztuk i biegania ze spektaklu na spektakl. Owszem, czasem udaje się porozmawiać z którymś z aktorów, ale już, gdy chcę zadać pytanie reżyserowi albo posłuchać poglądów innych osób jest trudniej.

Zazwyczaj, kiedy pytam aktorów, czy widzieli inne spektakle, odpowiadają, że nie. Tłumaczą, że dopiero przyjechali, bądź właśnie wyjeżdżają, trwają próby tu, tam, nie mają czasu... Nie zakotwiczą na dłużej.



Ciotki strofowały Józia podczas musicalu „Ferdynand” Teatru z Kalisza

Są i plusy takiej formuły festiwalu. Jeden spektakl dziennie pozwala na większe skupienie, dokładniejszą analizę i więcej godzin snu ;-). Ale nie należy jednak martwić się na zapas, bo najlepsze dopiero przed nami!

PAULINA LISIK



## Jak ma zachwycać, skoro nie zachwyca?

Wczorajsze „Ferdurke” rodem z Kalisza okazało się wielką sensacją na radomskiej scenie. Wszyscy zapytani o zdanie widzowie wychwalali przedstawienie pod niebiosa, opowiadali o majstersztyku reżysera, który tekst Gombrowicza przedstawił w jakże przystępnej i cieszącej się niesłabnącą od dekad popularnością formie musicalu. Publiczność młodzieżowa natomiast opuszczała salę urzeczona humorem i licznymi żarcikami, obiecując sobie, że „przeczyta się wreszcie tę książkę”.



W tym rozentuzjzmowanym towarzystwie czulem się nieswojo i obco. Bo czyżby tylko mnie ta interpretacja nie chwyciła za serce? W moim odczuciu, nieco zbyt często twórcy dawali do zrozumienia: „nasza sztuka jest

przeznaczona dla jak najszerzej publiczności, także dla teatralnego laika”. Już samo potraktowanie „Ferdurke” jako materiału na musical świadczy o znaczeniu walorów czysto rozrywkowych w kaliskiej interpretacji. I owszem, zabieg dość ryzykowny, ale pacjent przeżył. Tylko, że już nigdy nie zagra na skrzypcach...

Jak na przedstawienie z założenia muzyczne, piosenki sprawiły wrażenie dość topornych, pisanych na jedno kopyto i bez polotu. Brakowało też zapadającego w pamięć motywu przewodniego. Od biedy można doszukiwać się go w piosence finałowej, która jednak wypadła drugim uchem tak szybko, jak wpadła pierwszym. Podobnie rzecz ma się z ubogą i nieskomplikowaną choreografią. Tańczącym grupom brakowało zgrania, zaś same układy nie oszalały efektywnością. Tak naprawdę podobały mi się najwyżej trzy piosenki: Syfona, Miętusa i Dyrektora – miały bardziej złożoną linię melodyczną i wykonane zostały naprawdę zadowalająco.

Utwór finałowy (o ile można tak nazwać pojedynkę na miny) nieco się dłużył i, jakkolwiek urzekał komediowymi popisami aktorów, jednak odbierał zakończeniu sporą część napięcia i dramatyzmu zbudowanego w scenach poprzednich.

A skoro już jesteśmy przy komediowych popisach, to bez wątpienia każdemu zostanie w pamięci Syfon. Tak przerysowany i karykaturalny, że łączący teatr z kabaretem. Chociaż niektóre z żartów były naprawdę śmieszne, to jednak irytowało mnie nadawanie spektaklowi takiej właśnie konwencji. Odebrałem to jako chwyt mający zjednać i oczarować publiczność, pękającą ze śmiechu przy każdym pojawieniu się postaci na scenie.



Natomiast na szczere oklaski z mojej strony zasłużyła kreacja Miętusa. Znakomicie i w wyważony zarazem sposób, ze sporą dozą ironii i przewrotności wcielający się w tę postać Zbigniew Antoniewicz ukazał wymieszany z komizmem tragizm tego wyrazistego bohatera, bojownika o wolność od upupienia.

Podsumowując – jestem przeciwny egalitaryzacji Gombrowicza, uwspółcześnianiu i uatrakcyjnianiu jego twórczości żarcikami i skeczami. Po prostu zbyt mocno czuję tutaj kabaret, a nie „Ferdurke”.

Muszę jednakże oddać honor twórcom za kilka naprawdę znakomitych scen, wspaniałą grę aktorską i liczne dające do myślenia aluzje (choćby ławki szkolne kojarzące się z prosektoarium bądź katakumbami oraz przewijające się przez całą sztukę akcenty nawiązujące do nazizmu). Także za odwagę i pomysł zmiany formy prezentacji oryginalnego tekstu, zupełnie odmienny od przyjętych konwenansów. I za to zdanie wypowiedziane po spektaklu przez jednego z licealistów: „Trzeba w końcu przeczytać tę książkę”.

RAFAL KOLSUT

## Miętus z Kalisza

Wczorajsze musicalowe „Ferdurke” skłoniło do refleksji wielu z nas, zwłaszcza że na widowni zasiadali zarówno uczniowie, jak i nauczyciele....a przecież i o „ciele” i o „niewinnych” w spektaklu była mowa. O tzw. szkolnych latach udało nam się porozmawiać z aktorem Zbigniewem Antoniewiczem, odtwórcą roli Miętusa.

Jak się Panu grało na deskach radomskiego teatru?

Bardzo fajne deski

A publiczność? Reagowała wtedy, „kiedy trzeba”?

Publiczność wyjątkowo sympatyczna. Większość reakcji była standardowa, tam gdzie mamy wypracowane puenty, tam spodziewaliśmy się oklasków. Ale były też chwile milego zaskoczenia, które nie były planowane. Wynikały z tego, że poniosło nas, że był większy luz. Przyjemnie się grało.

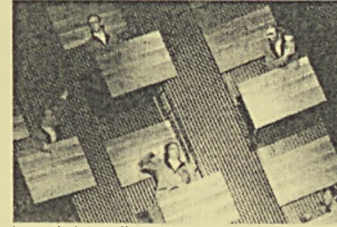
Czy trudno przekazać myśli Gombrowicza w musicalowej formie?

Na pewno. Najlepiej to po prostu czytać Gombrowicza.

Lubi Pan Gombrowicza w ogóle?

Lubię.

A wtedy, w okresie szkolnym było Panu bliżej do Miętusa, czy może do Syfona? Jak to się wtedy Panu wydawało i jak to jest dzisiaj?



Wtedy to raczej byłem Galkiewiczem, no i do dzisiaj chyba zostałem. Chociaż równie dobrze mógłbym zagrać Cimkiewiczza. Aktor, niestety, nie wybiera, bierze to, co daje, to trzeba robić. I to jest dobre bo mierzymy się z różnymi koncepcjami, z samym sobą. Gramy wbrew sobie, wbrew naturze. Nigdy bym na polskim nie powiedział „pani ma rację”, raczej bym polemizował.

Myśli Pan, że w dzisiejszej szkole większość uczniów polemizuje, czy raczej przytakuje nauczycielom i się z nimi zgadza?

Dzisiaj jest taka tendencja, we współczesnym świecie w ogóle, od ok. 30 lat w Ameryce, a powinna być już od bardzo dawna. Mamy taki system, że to uczniowie czy studenci bronią swoich stanowisk, wyrażają swoje prawdziwe myśli. Wchodzą z wykładowcami w dyskusje, stając się równorzędnymi partnerami. Mają bronić swojej tezy, nie muszą udowadniać czegoś, co nie leży im na sercu. Wydaje mi się, że takie procesy następują już we współczesnej edukacji. Odchodzimy od tego, że kanon jest sztywny, od tego nie ma odwołania, że Słowacki wielkim poetą był... Nie, mam inne zdanie. I nauczyciel szanuje to zdanie. I za obronę takiego innego zdania, że wcale nie był wielki, bo coś innego jest dla mnie wielkie, w Stanach można dostać nawet ocenę celującą. Nie wiem, jak to jest u nas traktowane.

U nas często bywa tak, że dobrą ocenę, można dostać za to np., że wspólnie z nauczycielem przyjdzie się właśnie do teatru. Więc faktycznie może jednak się Panu tylko wydaje, że uczniowie odwiedzają teatr z własnej woli, sami z siebie.

Pozory! Naprawdę, sami z siebie! Ja też chodziłem niby dla nauczycieli, a chodziłem przecież sam dla siebie.

Czyli jednak nie do końca polemizował Pan z tymi nauczycielami, i chodził Pan z nimi do teatru?

Nie. Owszem, polemizowałam. Ale to były zupełnie inne czasy. Trzeba przyznać, że dosyć ciężkie. Trzeba było uwielbiać wschodnich sąsiadów, słowa sprzeciwu wobec Związku Radzieckiego kończyły się wyrzuceniem ze szkoły albo obniżeniem ocen. To były tego typu historie. Ja wchodziłem w dyskusje natury politycznej i narodowej, „żeby Polska była Polską”.

Pana ulubiony poeta?

Bolesław Leśmian.

To tak, jak Pauliny ;-). Dziękujemy za rozmowę.

## Ciała Pedagogiczne...

Czy forma musicalu przemówiła do widowni?

Ta wersja „Ferdurke” była rzeczywiście ciekawa. Bawiliśmy się świetnie, jako że jesteśmy „ciałem pedagogicznym”.

Jak „ciało” patrzy na „Ferdurke”?

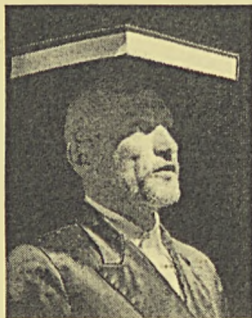
Taką „Ferdurke” można omawiać na lekcji. Śmiałyśmy się, widząc twarz profesora Pimki i pewne rysy, które przemycza się w tej naszej dydaktycznej działalności...





## Literatura to zapis doświadczenia

Po spektaklu "We save no lives" zadaliśmy kilka pytań twórcom. Rozmowa z Ryszardem Turbiaszem, Johanem Dehollanderem i Dirkiem Van Dijkiem była o tyle interesująca, że prowadzona w trzech językach – po flamandzku, angielsku i polsku. Z porozumieniem nie było jednak najmniejszych problemów.



Kim jest dla was Gombrowicz?

To bardzo interesujący autor. Jeden z wielu interesujących ludzi, których mamy w „rozkładzie jazdy”. Nie traktujemy go tak, jak często robi się to w Polsce, że to wielki dramaturg, wybitność i na kolanach przed nim trzeba być. Literaturę odbieramy jako pewnego rodzaju zapis doświadczenia. A u Gombrowicza to jest.

Jak oddziałuje na was sytuacja, kiedy gracie po flamandzku, tak jak w Radomiu, dla polskojęzycznej publiczności?

Problem jest porównywalny z tym, jaki ma bohater sztuki, Czarniecki. On szuka, chce mówić do ludzi, żeby należeć do nich..., a oni patrzają gdzieś za niego. Tak, jak w tym spektaklu – aktor patrzy na widownię, mówi do niej, a ludzie patrzą ponad jego głowę. Bo tam są napisy, tłumaczenie. O tym też jest mowa na początku, w szeptanym tekście, który podkreśla, że jeżeli chcesz należeć do wszystkich, to nigdzie cię nie będzie, w niczym nie weźmiesz udziału.

Czy wszystkie przedstawienia są takie same?

Nie. Najlepszy przykład mieliśmy w Radomiu. Pierwszy raz graliśmy w piątek w Resursie. Byli tam przede wszystkim jacyś uczniowie, chyba maturzyści. Jak ludzie wchodzi na salę i od razu kierują się do ostatnich rzędów, to od razu wiem, z kim mam do czynienia. W piątek młodzi ludzie przyszli... z jakiegoś powodu. Nie do końca wiem, z jakiego. Nie wszystkich obchodził spektakl, widać to było również po reakcjach.

W Sali Kameralnej było podobnie?

Nie. Zupełnie nie. Ludzie reagowali dobrze, w skupieniu śledzili wyznania bohatera, ale i śmiali się w momentach, które uznali za wesołe. Bohater przypomina sobie życie, ma pewne doświadczenia. Każdy jakieś przecież ma, a on czuł się inny i szukał akceptacji. Publiczność w teatrze była tym zainteresowana, może nawet znalazła w tym jakieś elementy siebie. I dlatego drugi spektakl grało się lepiej.

Spektakl oparty jest nie tylko na opowiadaniu Gombrowicza.

Tak. Uważny widz, jak widać, zauważył, że nie tylko "Pamiętnik Stefana Czarnieckiego" tu się znalazł. Były też "Dzienniki", ale i fragmenty Austera i Jamesa, a przede wszystkim "Głodu" Knuta Hamsuna. Przesłanie tych tekstów w pewnym sensie wiąże się z doświadczeniami Gombrowicza. Jemu też w pewnym czasie w Argentynie nie powodziło się najlepiej.

Dziękujemy za rozmowę.

PAULINA I LUKASZ

## Wszystko do siebie pasowało

„We save no lives” mówi o problemach z odnalezieniem własnej tożsamości, o dojrzewaniu, o stereotypach. Skłania do rozważań nad cierpieniem, sensem życia i śmierci, młodością i starością, zdrowiem i chorobą. Po spektaklu swoimi wrażeniami podzielili się z nami obecni na widowni licealiści:



- Interesująca była gra aktorska. Nie spotkałam się wcześniej z czymś takim. Nawet to, że sztuka była w innym języku, i trzeba było czytać nie sprawiało mi kłopotu, wręcz poлегowało uczucie tajemniczości. Jestem zadowolona, że tutaj przyszedłam.

- Spektakl bardzo mi się podobał. Jako osoba, która lubi Gombrowicza, wszystko mi tam pasowało, połączenie różnych dziedzin sztuki, takich jak muzyka, kino i teatr bardzo dobrze sprawdziło się w tym spektaklu.

## Gombro-Cytaty

Namawiam Sztukę do kopnięcia – lup! – ale nie po to, aby profesor poczul się kopnięty; po to jedynie, aby artysta poczul się kopiącym. Nie pograżenia nauki szukam, a przywrócenia sztuce jej własnego życia, w pełnej odrębności.

Nie ma nic łatwiejszego niż mieć zdrowe ideały



Gdy szpetnie podglądamy piękność, coś z naszego wzroku osiada jednak na piękności.

Literatura ciężkiego kalibru musi strzelać na daleką metę i dbać przede wszystkim o to, aby nic nie osłabiło jej zasięgu. Jeśli chcecie aby pocisk daleko zaleciał musicie lufę skierować do góry

redakcję tworzą uczniowie radomskich szkół  
Zespół Szkół Budowlanych – Magda Kowalik  
Zespół Szkół Budowlanych – Piotr Pomarański  
Zespół Szkół Hotelarskich i Agrolubnych – Karolina Suska  
III L.O. im D. Czachowskiego – Rafał Kolaś  
IV L.O. im T. Chalubinskiego – Damian Maciąg  
oraz studenci Paulina Lisik, Nikola Ciesielska, Lubasz Chrzanowski  
autorką logo "Festalek" – Mikołaj Ludwiński  
koordynator działań ślad redakcyjny korekta – Jarosław Bessa

**7 dni**

opieka redakcyjna  
i patronat